

GODKO: POLNY KAMYK,  
16-DOROSLI

## *Nabożna legenda o tym, jak Potęgowo od zarazy się uratowało*



Było to wówczas, gdy kosika Europę zaraza Czarna Śmiercią zwana, straszliwe żniwo wśród niemal wszystkich krajów ówczesnej ziemskiej dziedziny zbierając.

Wymierały zadżumione tak samo małe przysiółki, co miasta, grody potężne, suto wszak zaopatrzone na czas wojen, lecz bezsilne wobec wszechmocnej siły morowego powietrza... Żnikąd nie było pomocy, żnikąd ucieczki przed kostuchą, która nielitościwie dierząc w kościotrupich dłoniach swój miecz – długą czarną kosę –

zapraszała do śmiertelnego tańca i chłopca, i króla, i pana na włościach zamożnego, i kupca, i niewinne dziecko...

Ludzi ogarnął wszechobecny strach. Zamykano się w domach na cztery spusty. Każdy ino patrzył trwożliwie, czy jutra doczeka. Sąsiadowi ręki nie podawał, a o wspólnych biesiadach w karczynie nie było co myśleć...

W Potęgowie wówczas nie było jeszcze ani prężnie działającego folwarku, ani młyna, ani kowala. Nikt nie nazywał jeszcze jakoś szczególnie owej osady, choć leżała na głównym trakcie pomiędzy sporym już, jak na tamte czasy, położonym na zachodzie słupskim grodem a miejscem, które z czasem stało się Lęborkiem. Ot, kilka chałup oddalonych od siebie, niektóre niedaleko strugi gdzieniegdzie rozsypane, co poniektóre przy trakcie drodze znaczące.

Wśród tych ostatnich największą i najbardziej widoczną chatą z daleka - dzięki pochodniom, które gospodarz pilnować słuźbie i rozstawić na poboczach kazał wzdłuż wiodącego gościńca - była karczma, do której zjeżdżali się co i rusz jacyś wędrowcy ze wszystkich stron. Wszak blisko stąd było do niedalekiego, a już sławnego w okolicy szlaku św.

Jakuba, który wiodł pobożnych pątników z całego świata do Santiago de Compostela. Zresztą, ówczesne Pomorze znane było z obecności i wstawiennictwa wielu świętych. W niedalekim Gdańsku można do dziś odwiedzić relikwie świętej Barbary i świętego Wojciecha, co przemierzał pomorskie drogi, zanim poniósł męczeńską śmierć z rąk pogańskich Prusów.

Dziś w miejscu potęgowskiej karczmy stoi dziewiętnastowieczny dworzec przy ulicy Głuszyńskiej, ale wówczas ani Głuszyna, ani tym bardziej torów kolei żelaznej ni dworca kolejowego nikt uwidzieć tu nie raczył...

Były to jednak dni trwożą śmiertelną podszyte, więc i pochodnie na dziedzińcu w czasie wszędobylskiej, zdradzieckiej zarazy niegorejące, tym razem weale niechętnie zapraszały przyjezdnych, boć od dobrego zarobku życie cenniejszym karczmarzowi było.

W gospodzie zatem nie otwierano żadnym wędrowcom podwoi, wystawiając czasem skromną strawę jeno na zewnątrz, gdy przez okno wołali, prosząc o jakieś wiktuały na daleką wszak drogę. O nocleg nie było co i nawet próbować poprosić srogiego właściciela przydrożnej karczmy. Wszelkiej maści podróżni nie mogli

tu liczyć w owych ponurych, mrocznych dniach na spoczynek. Wszystkich jednako traktował gospodarz, krzykiem wędrowców odpędzając:

- A pójdziesz no stąd, przybłądo, jeden z drugim!

Wtórowała mu czeladź i okoliczni mieszkańcy, tak zazwyczaj przyjaźni dla podróżnych, bo i pieniądz taki zostawił, i opowieściami cudownymi bawił miejscowych. Teraz jednak trwoża wielka wrodzoną gościnność zabiła i w ludzkich sercach zmroziła krew nieczułą.

-Jeszcze nam tu pomór przyniosa! Wynocha! - krzyczeli bez opamiętania.

Zdarzyło się razu jednego pod wieczór, gdy słońce jeno ledwie nie skryło się już całe za odległym horyzontem, że do drzwi zamkniętej karczmy zapukał ktoś wędrownym kosturem.

-Wpuście mnie, dobrzy ludzie, jam z daleka patnik. Wędruję do miejsc świętych - rozległ się głos jasny i dobry pośród wieczornych ciemności.

-Wynocha stąd, zarazo przekłeta! - gospodarz nie miał zamiaru robić wyjątku dla kogokolwiek, choć wszyscy domownicy, a była ich spora gromadka, zaraz wylegli do okien, by spojrzeć na podróżnego starca.

Nawet przez ciemne szyby spostrzec można było dziwną jasność, bijącą od brodatego mężczyzny. Zwłaszcza twarz miał niezwykle świetlistą i młodą, mimo okazałego zarostu i starczej postury, wcale nie bladej, a pełną dobroci i żywotności, choć z widocznymi oznakami wielkiego zmęczenia.

Na znoszonym płaszczu pokutnym świeciło wiele odznak ołowianych – niechybne świadectwo odwiedzin wielu miejsc świętych. Do nóg wędrowca łąsiło się stare rozczochrane psisko, równie zmęczone i biedne jak jego właściciel, a jednak z bezgraniczną ufnością spoglądające na swojego pana.

-Wpuście mnie, dobrzy ludzie! – powtórzył raz jeszcze nieznaną osobę – w imię Najwyższego. Nie złego Wam nie uczynię i zawsze będę pamiętał o Was w swoich modlitwach.

Gospodarz pozostawał jednak nieubłagany.

-Wynoś się stąd, przybłądo, a żywo, bo kundlami poszczuję!

-Po raz ostatni proszę – wpuść mnie. Nikomu krzywdy nie uczynię, a błogosławieństwo, które Wam zostawię, ustrzeże Was od nieszczęścia.

-Idź precz!

Odpowiedź zabrzmiała jak świst bata wymierzonego w twarz człowieka.

-Zaprawdę powiadam Ci, jutro sam mnie wzywać będziesz...

To mówiąc, wędrowiec wraz wiernym psiskiem odszedł w dal i zaraz postać jego zniknęła za zakrętem gościńca.

Następnego dnia najmłodszy syn gospodarza nagle poczuł się źle. Gorączka rozpalila jego ciało, dziecko z trudem łapało oddech, rozpalonym bezradnym wzrokiem wodząc po powale izby.

Domownicy bezskutecznie próbowali opiekować się malcem, nie widząc jednak ratunku ni nadziei na ozdrowienie dziecka w tej okrutnej godzinie. Synek słabł coraz bardziej. Wtedy gospodarz przypomniał sobie o modlitwie do świętego Rocha, która miała chronić ludzi przed zarazą.

Wszyscy zaśpiewali więc jednym chórem:

*Witaj Rochu, mężu święty,*

*Tyś z wielkiego rodu wzięty!*

*Krzyżem świętym naznaczony,  
Z lewej boku Twego strony.*

*Gdy miejsca święte obchodzisz,  
Zapowietrzonych przywodzisz*

*Do zdrowia samém dotknięciem,  
Z wielkiem wszystkich podziwieniem.*

*Pozdrowienieć ponawiamy,  
Zachowaj nas - upraszamy -*

*Od wrzodów, moc nad któremi  
Wzięłaś słowy anielskiemi.\*\*\**

Gdy wybrzmiały ostatnie słowa pieśni nabożnej, rozległo się pukanie do wrót gospody, także same, jak zeszłego wieczora. Ktoś wyraźnie stukał kosturem o deski drewnianych drzwi.

-Wołaliście mnie, więc przybyłem – rozległ się znajomy głos z oddali.

Wszyscy spojrzeli po sobie, nie dowierzając słowom, które do nich dochodziły zza zamkniętych podwoi.

Karczmarz powoli odryglował masywne wrota. Wraz z wejściem szlachetnego starca w izbę nastąpiła jasność.

Domownicy bez słowa ukłękli przed mężczyzną. Kobiety, szlochając, patrzyły na niego z nadzieją i niedowierzaniem.

Gospodarz milczał, ze wstydem chyląc głowę.

Święty Roch podszedł tymczasem do chorego chłopca. Wziął go na ręce i przytulił do piersi. Następnie położył dziecko z powrotem do łóżeczka i na jego czole uczynił znak krzyża.

-Matko, nakarm swojego synka, bo jest głodny – zwrócił się spokojnym głosem w stronę karczmarki.

Ta z płaczem objęła nogi świętego, dziękując Rochowi za cud uzdrowienia.

Ten delikatnie odsunął kobietę od swoich nóg, odwrócił się wraz z wiernym psem w stronę drzwi, mówiąc jeszcze na odchodnym:



- Bądźcie zdrowi, ludzie. I pamiętajcie, że każdemu, kto jest w potrzebie, należy pomóc. Zostańcie z Bogiem.

I wyszedł.

Od tej chwili karczma w Potęgowie nigdy już nie odmówiła nikomu gościny, zawsze służąc pomocą wszystkim, którzy jej potrzebowali.

†††

Źródła:

Grafika przedstawiająca św. Rocha, POLONA, domena publiczna: <https://polona.pl/item/s-roch,111T&SNDczNT&z/l/#info:metadata>

\*\*\*Hymn do św. Rocha pochodzi ze strony internetowej:

<https://kbroszko.dominikanie.pl/roch.htm#3>